

Klemens Boruta



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

Klemens Boruta

Nędza należy do tych niewielu szczęśliwych wiosek Górnego Szlązka, które dotąd zachowały swą polską nazwę. Wyznać jednak trzeba, że ani landrat, ani prezes rejencji, ani nawet minister spraw wewnętrznych, w połączeniu z ministrem sprawiedliwości, nie kusili się o przemianę jej rodzinnego imienia. Podczas gdy Raciborze, Lublinice, Olszowy i inne miejscowości otrzymały, bodaj w pisowni, przymusowy chrzest germański, Nędza pozostała nietknięta. Nie można bowiem liczyć tego za szkodliwy uszczerbek, że boska mowa landratów, nie znajdując w swem abecadle samogłoski nosowej, zastąpiła ją spółgłoską płynną i z Nędzy zrobiła *Nendzę*. Ludowi natomiast nawet królewsko-ziemiańska rejencja pozostawiła zupełne i niczem nieograniczone prawo używania *Nędzy*.

Naturalnie korzystał z tego prawa i Klemens Boruta, którego ród od wieku blisko mieszkał w Nędzy i który był najlepszym świadectwem wiarogodności nazwiska wioski. W rodzie tym bowiem umarło z głodu 15-tu członków, najślawniejszym jednakże między nimi był Wawrzyniec Boruta, ojciec Klemensa. Kiedy w r. 1847 nawiedził Nędzę głód, Wawrzyniec, podówczas wdowiec, bez środków żywności i roboty, łapał nocą pod strzechami wróble, a dniem łowił na sidła wrony, których mięsem karmił dziesięcioletniego syna. Gdy nareszcie wróble nie stało, a wrony zmadrzały, zrozpaczony wyrobnik, nie mogąc przez dwa dni znaleźć dla dziecka pożywienia, postanowił się powiesić. Przechodząc wszakże koło zabudowań dworskich, spostrzegł na śniegu obdartego ze skóry lisa. Boruta wziął mięso do domu, upiekł je, a ponieważ sam od kilku dni nic nie miał w ustach, a dziecko spało, zjadł więc skwapliwie naprzód kawałek pieczeni. Po chwili uczuł gwałtowne bólesci. Przekonany, że lis był strychniną otruty, wyrzucił mięso, wybiegł za chatę, położył się na ziemi i zaczął jeść gwałtownie śnieg z ziemią w nadziei, że się tem uleczy. Chłopiec, zbudziwszy się w nocy, zaczął krzyczeć i wołać tatula, ale tatulo nie przyszedł. Na drugi dzień znaleziono go martwym za chałupą. Ponieważ nie przypuszczano, ażeby w jego żołądku coś być mogło, więc sąsiedzi zdecydowali, że zmarł. Na opinii tej poprzestał lekarz obwodowy i my również zgodzić się na nią musimy.

Po śmierci ojca, przyjaciel jego, owczarz dworski, Szymon Brzost, wziął Klemensa do owczarni i tam go przezimował, dzieląc się z nim swoją strawą. Czasem było jadła skąpo, ale czasem, zwłaszcza ku wiosnie, gdy owce zdychać zaczęły, Brzost dorzynał je i wyprawiał sobie z wychowańcem sute biesiady. Zgromadziwszy w lecie zapas korzeni, plótl on zwykle w zimie bardzo ładne koszyki. Chłopiec tak szybko wyuczył się przy nim tej sztuki, że zarobił kilka talarów, za które kupił sobie dymkowy surdut, spodnie i dwie koszule. Gdy owce wyszły w pole, a nadewszystko, gdy zdychać przestały, stary rzekł do Klemensa:

— No, spróbuj poszukać sobie chleba. Jak ci bieda dobodzie, przyjdź do mnie.

Klemens w swoim nowem dymkowym ubraniu wyszedł, płacząc, powłóczył się po wsi, odnowił z kilku chłopcami znajomość i wieczorem stanął w owczarni.

— A, hultaj jesteś — zawołał rozniewany stary — ty myślisz, że tu przy mnie, jak Burek, będziesz ciągle leżał? Ruszaj mi w świat!

Nie tyle rozkaz, ile owczarski bat, który Brzost ze ściany porwał, zdmuchnął chłopca z podwórza, jak świecę. Było wszakże już ciemno; potulałwszy się więc za stodołami, gdy noc zapadła, przyległ do sterty słomy i zasnął. Ale nazajutrz, chociaż stary bardzo rano wstał, już Klemensa nie było. Gdzie się podział? Pytał owczarz ludzi we wsi, pytał przyjezdnych, ten i ów spotkał chłopca, ale wszyscy objaśnić nie umieli.

— Zawzięty kaduk! — mrucał stary. Szelma, ani piśnie, jak gdybym go nie przezi-
mował. Może zmarł gdzie? Nie przyszedłby-to, nie pogadał, i zjadłby coś, oto tłustego
barana dorznięłem. Psy pożrą...

Pomimo że dorzynanie baranów w Nędzy musiało szeroko i ponętnie rozbrzmieć
w okolicy, młody Boruta się nie pojawiał. Brzost długo jeszcze wywiadywał się, nareszcie
machnąwszy ręką, całkiem o *kerlu* mówić przestał. Upłynęło lat siedem. Jednego dnia
parobek dworski, spotkawszy owczarza, zagadnął go:

— To i mamy napowrót Klimka.

— Jakiego Klimka?

— No, juści Borutę, tego, co z wami zimował.

— Jest tutaj?

— A jaki *fryc*! Nie poznalibyście go. Zgodził się do pługa.

Brzost nic nie odrzekł i wrócił do owczarni.

Położywszy się na słomie, zaczął rozmyślać. Doznał jakiegoś przyjemnego dreszczu,
ale zarazem obudziły się w nim uśpione uczucia gniewu.

— Dam po łbie batem, jak tu zajrzy — szepnął.

W tej chwili do owczarni wszedł Klemens. Rzeczywiście, wyglądał elegancko. W czar-
nej kamizelce, z której wysuwały się rękawy czerwonej koszuli dymkowej, w długich no-
wych butach, w świeżej czapce niebieskiej, osadzonej na wytłuszczonych włosach, z cy-
garem w ustach, nad którymi, pod przyplaszczonym nosem, zaczął się wysypywać jasny
wąs, wszedł on śmiało i stanął na progu.

— *Morgen!* — zawołał junacko.

— A co to — krzyknął Brzost — nie widzisz, że tu słoma — z cygarem wchodzisz!

— Toć je w gębę wetknąłem, nie w snopek — odrzekł Boruta, nadrabiając miną.

— Pójsz stąd, żebym go głębiej nie wetknął.

Klemens wyjął z ust cygaro, opluł je i zgaszone schował do kieszeni.

— Czemuż to dziadek — rzekł, zbliżając się łagodnie — tak mnie wypędza, jak wilka.
Przecież wam drzazeg za paznokcie nie biłem. A że poszedłem w świat, toście kazali.

— Kazali! — krzyknął stary — juści całe życie w torbie nosić cię nie mogłem, żebyś
z niej chleb wyjadał, a dopóki trzeba było, tom od miski nie odganiał.

— Albo to mówię? Ale kiedy musiałem swojej miski poszukać, to musiałem.

— O, ja wiem, zostałeś panem i dlatego nie chciałeś się nawet dowiedzieć, czy stary
nie zdechł gdzie pod krzakiem. Juści, pan taki — to nie Burek, który zaraz przyleci, jak
krzyknę: do nogi. Pal dyabli głupich.

— Ja, pan? Bo po siedmiu latach mam czem skórę przyodzwać. Nie gadalibyście po
próżnicy. Żebyście wiedzieli, po jakiej to ja drabinie lażem, zanim wylazłem, ile się szcze-
blów złamało...

— Zkądże miałem wiedzieć — rzekł, widocznie ugłaskany Brzost, podciągając za uszy
skurczoną u buta cholewę.

— O, może i wam w młodości tak bieda nie dobodła — mówił z westchnieniem
Boruta, usiadłszy na progu. Przez miesiąc ciepłego nie skosztowałem, potem ledwie kilka
groszy na dzień w kopalni wydrapałem; w fabryce dał zarobek, póki nie stanęła; z banhofu
za przespanie wypędzili, wziąłem się do służby na folwarku i ot, co na mnie, to całe z niej
bogactwo.

— Ciężko, ciężko — zauważył Brzost już bez śladu złości.

Klemens nie potrzebował wcale być przenikliwym psychologiem, ażeby z ostatnich
słów zgadnąć, że stary jeżyć się przestał. Podsunął się więc bliżej do niego, wyjął z kieszeni
zgaszone cygaro i ssąc je, roztoczył przed oczyma Brzosta całe pasmo swych siedmiolet-
nich przygód. Były w nich wszystkie nici, z jakich się zwykle tka życie biedaka. Słuchając
tej powszedniej doli sieroczej, stary przerywał ją ciągle radami mądrości po szkodzie:

— Nie było ci — zawołał wreszcie — trzymać się kopalni!

— A toż trzymałem się — odrzekł Boruta — póki kawał węgla się nie oderwał i nosa
mi nie przetrącił.

Brzost spojrział na swego wychowańca i dostrzegł widoczne przełamanie chrząstki
nosowej.

— Długo chorowałeś?

— Ze dwa dni krew buchała, ale to była furda. Jak mi, panie, maszyna ten oto palec odgryzła, to świerkało w oczach, świerkało!

Owczarz ze zdziwieniem popatrzył na rękę Klemensa, u której istotnie palca brakło.

— A tu głód, bo robić nie mogłem. Poszedłem do apteki po masć, to feniga nie ustąpił. Myślałem, że sobie łeb ukręcę. I gdyby tyle! Ale raz przyszedłem do fabryki, stoję, a psi wnuk, Born, puszczał żelazo w rynnę; kiedy nie pryśnie, *durch* do kości zbój przepalił mi nogę.

Zdjął but i odsłonił na łydce szeroką szramę po oparzeniu.

— To cię opadło ze wszystkich stron — mruknął Brzost i zaczął czegoś szukać w słomie pod poduszką posłania.

— A no! — rzekł Boruta — może przecie koniec. Mnie i świdra dyabeł w ręce nie utrzyma, bo mu się wykrecę.

Podczas gdy zaciekawiony poszukiwaniami pana Burek powstał i zaczął mu przypatrywać się, kręcąc ogonem, niemniej zaciekawione obecnością Boruty owce zbliżyły się w gromadce. Klemens, chcąc je za tę uwagę wynagrodzić, podał wysuniętemu naprzód skopowi niedopałek cygara. Baran ujął je zębami, zgryzł i plując odbiegł, a spłoszone jego ucieczką stado, bojaźliwie w kąt się stłoczyło.

— Myślałeś, że piernik — rzekł śmiejąc się Boruta i w przystępie wesołości porwał za ogon Burka, okręciwszy go kilka razy w koło. Pies zaskowyczał i zaczął szczeakać. Przestraszone owce jeszcze gwałtowniej skupiły się w kacie.

— Nie pójdziesz ty darmozjadzie! — krzyczał owczarz na Burka, nie uwzględnivszy jego słusznej racji gniewu.

Pies tem smutniej ogon spuścił, że jego pan wyjął ze słomy butelkę, co mniejsza, a zarazem kawał gotowanej baraniny, owiniętej w skórę ze starej torby, co dla kudłatego towarzysza obojętnem nigdy nie było i teraz być nie mogło.

— Na zdrowie twoje — rzekł Brzost, przykładając do ust butelkę, z której obficie pociągnął.

— Na wasze — odpowiedział Klemens i pożądlivie zanurzył w gardło pokrzepiającą szyjkę.

— Ostra! — rzekł, przymrużając oczy.

— Trzmielówka — mówił stary z widocznem zadowoleniem. Sam sobie ją przyprawiam. Biorę okowitę od Katzera, wlewam na korę trzmielinową i tak stoi tydzień, potem kładę trochę głogu, macierzanki, rozchodniku, dębowych galek, pokrzywiego korzonka i cynamonu.

— Ho! ho! — podziwiał Boruta.

— Dobrze łyknąć, to każdą chorobę wystraszy. Albo to raz i sobie i drugim kości prostowałem. No, zjedz kawałek mięsa, wczoraj dorznąłem — motylca precz dusi.

— Co ma tłusty polec smarować, lepiej, że ludziom da się pożywić. Czy sam pan często tu przyjeżdża?

— Ale skąd. Siedzi w Berlinie, albo nad morzem. A chociaż przyjedzie, to na tyle folwarków czasu mu nie starczy. Juźci zajrzy, powącha i dalej. Tu i nie ma gdzie mieszkać. Dwór stary, trzy pokoje lepsze, to rządca mieszka.

— Podobno okrutny niemiec, ten rządca.

— Ludzkiego słowa nie da. Krzyczy, rozgania, żebyś ze skóry wylazł, to jeszcze mu za mało. Dziedzic, mówią, niezły człowiek. Ale jak przyjedzie, Klein nikogo nie puszcza, a choć uda się komu dostać, póty będzie wymyślał, że wszyscy gałgany, próżniaki, polskie szkodniki, aż pana przekona. Wyjrzyj, czy tam kto ucha nie wyciąga. Nie?

— Niema nikogo.

— Albo i ze mną. Dwanaście lat tu jestem i dobrze było. Jak on nastał, zaraz zakrzyczał, żem głupi, niedołączny, że mnie wygoni. Ot tak. A, niech go robaki! Do ciebie, Klimku.

— Czuć macierzankę — rzekł Boruta, smakując.

— Jakby człowieka polechtało — prawda? Choć płaczesz, wypijesz kropkę, zaraz śmiać się musisz. Ciebie przechodzi? — Bo mnie już podbiera. Kisiel, ten, wiesz, z pod kuźni, robi jakąś siarkówkę, ale nie umywała się, chociaż na nosaciznę niezła. Ho, ho! nie-doczekanie, żeby moją trzmielówkę kto dobrał. Owczarz zna zioła. Przychodzą do mnie

z kieliszkami, a ja tylko po kropelce, po kropelce i za najmniejszą odrobinę płąć, bo spirytyrus w rzece nie płynie, a cynamon na miedzy nie rośnie. Burek, masz kanalio kość i ty podjedz. Na starą zgodę wypijemy jeszcze.

Obaj znowu pociągnęli kolejno z butelki, na której dnie niewiele zostało.

— Jak umierzył — rzekł Brzost — trzymając flaszkę do światła. Mamy gęby równe, jak kieliszki, ha, ha, ha! — jak kieliszki — półkwartki! Mnie dwudziestu zębów brak, to i gęba powinna być większa. Dwa przeszłego roku sobie wybiłem. Szelma Burek, wypłoszył w polu małą kuropatwę, ja za nią, on mi pod nogi, potknąłem się i rznąłem zębami o kamień. Poszedł psie, poszedł Klein, a zbój! *Weg, weg!*... owce zrosił! Cóż to one kopyty nie mają, w butach chodzą lepszych niż ja, bo bez dziur. Hu — ha!

— Hu — ha! powtórzył, zataczając błędnym wzrokiem Boruta i zaśpiewał:

Moja gąsko, stąpaj wąsko...
Moja sroko, chodź szeroko.

A, żeby tak kapela, tupnąłbym...

— Ba, rozśmiał się Brzost, skłaniając głowę na posłanie i przytykając radośnie zaszawione oczy.

— Pójdziemy do karczmy, dziewczek nałapiemy po drodze, jeśli nie będzie muzyki, to będziemy szczękać szklankami. A gardło od czego? Od picia — to będę pił, od śpiewania — to będę śpiewał.

Moja gąsko, stąpaj wąsko...

— Moja! — wtórował Brzost, dmuchając przez nastroszone wąsy.

— U nas było dziewczyn huk, tylko lucyfer nie pozwalał. Szymonie, w wasze ręce.

— W ręce! — odbił echem owczarz, ale ujawszy butelkę, nie mógł jej do ust ponieść i na nodze oparł.

— Tam na tańcu — mówił, skłaniając się do Brzosta Klemens — podbiłeś się, tu i nagniotek nie zaboli.

Przebieraj, przebieraj,
Żebyś ja ci nie przebrał...

— Brał! — szepnął owczarz chrapliwie.

— Born nie wyfrunie mi z garści — bełkotał Boruta — ja go jeszcze ścisnę!

Ścisnąłem Marysię,
Że aż mi się zgięła...

Aa! Burek, psia wiara! No, Brzoście, pójdziemy do karczmy; prawa w górę, lewa na dół...

Moja gąsko...

Już Brzost nie mógł odpowiedzieć na to wezwanie, bo zasnął. I Boruta również rozpoczynawszy daremnie kilka śpiewek, zapadł w sen głęboki. Po chwili, ośmielony milczeniem Burek zbliżył się i zabrawszy resztę baraniny, odszedł na bok. Zwolna po owczarni zaczęła się rozchodzić i mieszać z wyziewem nawozu ostra woń trzmielówki, którą Brzost, wypuściwszy z ręki butelkę, obok siebie wylał. Zdziwione owce podsunęły się gromadką do śpiących, ale Burek, który podejrywał je o złe zamiary względem pana, a nadewszystko względem ukrytej w posłaniu baraniny, odpędził je natychmiast warczeniem. Kilka wszakże odważniejszych skopów znowu wróciło, jeden nawet zaczął obwąchiwać miejsce, z którego rozchodziła się woń trzmielówki, ale cofnął się, kichnął i pokręcił nosem, jak gdyby z Borutą mówił:

— Czuć cynamon!

Gdy Burek, naśladując pana, syt baraniny, również usnął, gdy odstraszone jego warzeniem i wonią trzmielówki owce spokojnie legły, w owczarni zapanowała uroczysta cisza. Swobodnie też przez otwarte drzwi rozlewał się po słomie jasny potok wrzesniowego światła. Na podwórzu również nie odzywał się żaden hałas, jak gdyby dla nieprzerwania błogiej drzemki dwu ukołysanych przez trzmielówkę przyjaciół.

Nagle na smudze światła u progu owczarni odbił się jakiś cień. W progu jej stanął niskiego wzrostu, dobrej tuszy, w kurtce i dużym kapeluszu, młody mężczyzna. Rozejrzał się na około, zatrzymał wzrok na śpiących, wywinął wzgardliwie grube wargi, nałożył binokle i mruczał.

Tak nie naigrawałby się ze śpiących Jowisz, ale naigrawał się Gerhard Klein.

Zbyt wina śpiących była niewątpliwą i zbyt surowy jej sędzia był pewnym efektu, ażeby nie miał ociągać się z rzuceniem gromu. Stał więc przez chwilę na progu, mierzył Borutę i Brzosta wzrokiem, z którego przebłyskiwały uczucia gniewu, szyderstwa lub zadowolenia. Nareszcie, jak gdyby mu szczęśliwa myśl błysnęła, cofnął się na podwórze, a spostrzegłszy przechodzącego parobczaka, kiwnął na niego:

— Brzost leży chory — rzekł z drwiącym uśmiechem. Wypędź owce na pole po cichu, żeby go nie obudzić i *hüte bis Abend*, tam *rechts* od lasu.

Parobczak pobiegł do owczarni, zdjął ze ściany bicz i zaczął po cichu wyganiać owce, ku wielkiemu zdziwieniu Burka, który wyskoczył z legowiska, spojrzał to na śpiącego pana, to na przywłaszczyciela jego berła, chciał zaprotestować, ale widząc swą bezsilność, wybiegł tylko na podwórze i wrócił, jak gdyby mówił:

— Brzoście, i ty na taką zniewagę pozwolisz?

Brzost pozwalał, bo spał. Nagle rozległo się na podwórzu trzaśnięcie z bata. Owczarz, który odgłosy swego bicia znał, drgnął silnie. W tej chwili Klein, nie chcąc stracić obmyślanego efektu przebudzenia, zawołał po niemiecku:

— Nie przeszkadzać panom!

Ockniony już do połowy, a przytem wrażliwy na głos rządcy Brzost, zerwał się w przerażeniu.

— Co pan każe? — spytał.

— Nic, szanowny panie Brzost — odrzekł ironicznie Klein — ja tylko upominałem chłopaka, co owce popędził, ażeby śpiących panów nie budził.

— Owce popędził? — wybełkotał strwożony starzec, oglądając się po pustej owczarni. — Zdrzemnąłem się chwilę, jagniaki musiały odpocząć. Burek, psia paro, gdzie bat mi zawlokłeś, a ty szelmo, bodaj cię...

Kopnął psa, który zaskowyczał przeraźliwie, zaczął się kręcić bezmyślnie, wreszcie wybiegł z owczarni.

— Panie Brzost! — zawołał rządcą.

— Co pan każe?

— Powtarzam, że ja panu nic nie rozkazuję, bo jesteś wolny. Chcę tylko poradzić, ażebyś pan, przespawszy się, poszedł ze swoim towarzyszem na przechadzkę.

— Co to ma znaczyć, proszę pana?

— To ma znaczyć, że od jutra będziesz pan pasał tylko swego Burka, bo ja pijaków nie trzymam.

— Alboż...

— Milcz, zabieraj swoje łachmany i precz!

Słowa te, wypowiedziane gniewnym tonem, przebudziły Borutę.

— Łotrze! — krzyknął Klein — to ty zgodziłeś się po to, żeby mi ludzi rozpajac, owczarnię zaswędzać jakąś śmierdziuchą! Oddawaj zadatek i wynoś się gałganie, bo cię kijem przemierzę.

Boruta wytrzeszczył oczy, zbierając myśli, które mu wódka jeszcze rozprasała, nareszcie nachylił się poziomo i z rozpędem uderzył głową Kleina w brzuch tak silnie, że ten padł w znak na słomę. Nie rzekłszy ani słowa, wyszedł.

— Zbój — krzyczał, dźwigając się, rządcą — łapać go, zbój!

Boruta nie obejrzał się nawet i wkrótce znikł za budowlami.

— Ja cię, zbrodniarzu, przebodę — wołał siny z gniewu Klein — ty nie wiatr, nie uciekniesz! Ha! podłe gnaty polskie! I ty może myślisz łbem rozbijać? — wrzasnął do stojącego pokornie Brzosta.

— Dwanaście lat, panie, tu wiernie służę — odrzekł spokojnie owczarz.

— Wy wszystko równo — mówił nieco spokojniej Klein, przeszedłszy nagle do polskiej mowy. Ha, ryj, ja go obciąć będę. Pamiętaj Brzost, że przed sąd przysięgniesz! Ty w Boga wierzysz — co?

— Zawsze.

— No, jeśli ty w Boga wierzysz, to u sądu powiesz, że on zbój był. Idź do owiec, ja tobie przebaczam, bo wina swoja znasz.

Owczarz nisko skłoniwszy się, odszedł w pole. Kiein udał się do dworu — a gdzie był Boruta?

Dworskie zabudowania Nędzy wznosiły się na górze. U jej spodu biegła pokrzywiona w różne strony wieś, której ubogie, przeważnie słomą kryte chaty, zrzadka jedynie przekładane domkami z czerwonej cegły, wskazywały, że głód szerokie prowadził w niej gospodarstwo. Znać to było i z ubogich plonów, które wieśniacy zwozili na małych furkach do stodół. A słońce wrześnie świeciło tak jasno, jak nad obrazem szczęścia i dostatku. Ach, to pocziwe słońce, czasem ono jedno tylko nie odmawia człowiekowi swych promieni, gdy los go ze wszystkich swoich łask obędzie! Czasem zamiast chleba położy swój odblask na stole biedaka, jak gdyby go światłem nakarmić chciało. Dobre słońce, nie gaśnij, nie zastanij swego oblicza dla ubogich.

Boruta, usiadłszy na kłocu pod chatą, od której skręcał się na wieś gościniec dworski, utkwiał wzrok w słońce. O czym myślał? Więcej o tem, co z sobą zrobi, niż o tem, co zrobił z Kleinem. Niezwietrzały jeszcze wpływ trzmielówki, pewne oszołomienie, gniewny półsen — wszystko to tworzyło w jego głowie wir wrażeń, a nadewszystko nastrojało go zuchwale. Zwróciwszy wzrok na pole, spostrzegł Brzosta, śpieszącego do owiec. Wstał więc z kłoca, okrążył zabudowania folwarku i podążył za owczarzem.

— Szymonie! Szymonie! — wołał zdaleka.

Ale Szymon, pogrążony we wspomnieniach świeżego wypadku, nic nie słyszał.

— Cóż tak zagony liczycie? — krzyknął wreszcie Boruta, doganiając owczarza.

— A co? nie gorzki migdał? — rzekł, zatrzymawszy się Brzost.

— Potłukłem go bardzo?

— Thusty wieprz — nic mu się nie stało. Ale co rymnął, to rymnął, jak kłoda.

— Krzyczał, słyszałem; niech mnie za ogon złapie.

— Powiedział, że cię do sądu weźmie, a mnie postawi, żebym przysięgł.

— Niech skarży. Was zostawił?

— Czort go wie, kazał iść do owiec. Wypędzi, to pójdę z torbą. A co ty?

— Trzeba poszukać roboty.

— Byłeś u Jana?

— Po co? Że stryj, to nie pan i nie kupiec. Chleba nie ma, a roboty nie da. A co, że w chałupie przemocować pozwoli!

— A ty głupi, chałupa jest do połowy twoja i ogród także. Przecież dziedzictwo po nieboszczyku ojcu do ciebie należy. Toć grosz warto.

— Więc połowa chałupy i ogrodu moja? — powtórzył Boruta zdziwiony.

— Jakaśmy żywi oba! Idź tylko i powiedz, kto jesteś. Oni cię sami poznają, siedem lat nie wieki.

— Daj gęby Antośka

Kiedym tak bogaty.

Jak nie chcesz w stodole

To pójdziem do chaty.

zaśpiewał Boruta, skacząc uradowany po polu.

— Tak, tak! — mówił Brzost — to twoja ojcowizna.

— Dziedzic, to po dziedzicku. Dziś się upijemy Szymonie, ale bawarskiem.

— To pewnie! Wyszczuły mnie jutro za dziesiąty kopiec.

— Nie bójcie się, mam łeb twardy.

— Masz go dla siebie, a wreszcie ja tylko trzmielówkę... Bawarskie w głowie zawraca.

— E, to odwróci. Przyjdźcie dziś do szynku.

— Nie mogę, ja tylko moja...

— Spróbujcie innej. Pójdę do stryja, a wieczorem potańcujemy.

Przebieraj Marychna
Żebym ja ci...

— No, do wieczora, Szymonie — rzekł, podawszy rękę owczarzowi i wesoło odszedł.
— Przynies jutro na pole kroplę, to skosztuję... wołał Brzost.

Owa ojcowizna, która tak niespodzianie zubożyła Borutę, była nędzną chatą, za którą wązkim językiem wyciągnął się kawałek ogrodu. Gdzie mech nie osłonił, tam przegniłe gonty rzęsiście wyhaftowały dach dziurami, które na jednej stronie założono badylem, zatkano gałganami lub chrustem. Po tej to bowiem stronie mieszkał Jan Boruta, stryj Klemensa i współwłaściciel nieruchomości, zapisanej w księgach hipotecznych Nędzy pod Nr. 15. Zabłocona sień dzieliła dom na dwie połowy. Na prawo znajdowała się dość obszerna izba, a za nią alkierz. W tej izbie Janowa, kobieta podeszłego wieku i wychudłej budowy, maczała właśnie w szafiku kurę, która na jajkach siedzieć chciała, gdy wszedł Klemens.

— Pochwalony.

— Na wieki wieków.

— Nie poznajecie pewnie — Klemens.

— A! — odrzekła, przyglądając mu się uważnie, gdy ją pocałował w rękę. Skądże?

— Ze świata. Cóż tu słyhać?

— A słyhać. Kaśka ot leży, bo febra ja trzęsie, a stary ledwie dziś do szopy nogi zawlókł.

Z pod kożucha na łóżku odezwał się lekki jęk.

— Czy stróżuje?

— Stróżuje — z rydłem. Drogę sypią do Rybnika. Gdzież ty teraz?

— Tu mnie dziś zgodzili i dziś wypędzili.

— Za co?

— Bom się na godzinkę spać położył.

— To jaskinia, nie dwór! Żeby ziemia się pod nim zapadła. Gdzież wracasz?

— Nie wracam, pozostanę tu tymczasem, oddacie mi połowę chałupy.

— Człowieku! — zawołała oburzona Janowa — nie boisz ty się Boga? Młody, zdrów, zabierać nam tę głupią izbę!

— A ona wam po co?

— Na dworze prosiaki uwiążę, czy to psy?

— O, spleciemy chlewek, będą stały.

— Okien niema, przez pułap się leje.

— Gdybym na drodze sypiał, jeszcze bardziej by się lało.

— Tfu! — splunęła Janowa — wilcze ślepie! Z ołtarza by zdarł.

— E, z wami gadać a miesiącowi się przedrzeźniać, to jedno — rzekł Klemens i wyszedł.

O ile Janowa z natury była chciwa, a z biedy na wszystko łakoma, o tyle zawojowany przez nią mąż chętnie z każdym się dzielił. Bez trudu więc tegoż jeszcze dnia pomógł synowcowi przeprowadzić prosiaki do sieni. Klemens, nie mając garści słomy, a przytem chcąc zagłuszyć smutek, jaki mu się co chwila w duszy odzywał, zgodnie z pierwotnym zamiarem poszedł do karczmy, gdzie ucieszywszy się tańcem i bawarem, przenocował. Nazajutrz od świtu zaczął porządkować mieszkanie. Wymiótł je, oczyścił z kurzu, pozaklejał wybite okna i myślał nad tem jedynie, jakby je wywietrzył z woni poprzednich mieszkańców, gdy wtem wybawiła go z kłopotu niespodziewana okoliczność: dostał wezwanie do sądu w sprawie Kleina.

— Pootwieram okna — mówił do siebie — jeśli wsadzą do kozy, mieszkanie przez ten czas wywietrzeje.

Jakoż nie tyle może skutkiem zabiegów Kleina i zeznań Brzosta, ile skutkiem życzliwości, sąd odgadując zapewne złe powietrze w mieszkaniu Boruty, ofiarował mu na dwa tygodnie kozę.

Brzost nie tylko wyrzekł się „kropli”, którą sobie u Klemensa zamówił, ale nawet widocznie go unikał. Jako bowiem jedyny świadek powalenia Kleina, zeznaniem swoim

na jego korzyść w sądzie głównie przyczynił się do osadzenia Boruty w kozie. Ile w tem zeznaniu było prawdomówności, a ile chęci utrzymania się na zajmowanym stanowisku, domyślać się nie będziemy. Tylko dla zadowolenia ciekawych zrobimy przypuszczenie, że samolubstwo, które nie jest wstrętnem dla nikogo, nie mogło być takim dla Brzosta, i że zapytywany w sądzie o szczegóły wypadku, myślał naprzód o sobie, a potem o przyjacielu.

Myliłby się wszakże ten, ktoby sądził, że Boruta uczuł do owczarza jakąś niechęć. Bynajmniej. Karę swoją uważał za bardzo naturalną, do pewnego stopnia sprawiedliwą, a nawet przyjemną. Zmęczony natłokiem wrażeń i zaniepokojony brakiem miejsca, potrzebował w spokoju uporządkować myśli i usnuć z nich jakiś plan życia.

Gdy powrócił do izby, zaledwie po długim rewidowaniu nosem odczuł ślady woni poprzednich jej mieszkańców. Przyznać trzeba, że było to równie zasługą wrześniego powietrza, jak i Kasi, która niezależnie od dąsań matki krewniakowi podłogę, a raczej jej ostatki wymyła. Co więcej, znalazł Boruta i okna deseczkami pozabijane i garść słomy w kącie, przykrytą starym, kiedyś niebieskim kilimkiem. Stryja w domu nie było, stryjenka nie obiecywała serdecznego przyjęcia; Klemens więc tylko rozejrzał się po izbie i już miał wyjść, gdy przez drzwi odchylone zajrzała Kasia.

— Wleźże głupia — zawołał wesoło — bo nos sobie przytniesz. Tatulo u roboty?

— Przy szosie — odrzekła nieśmiało, stanąwszy na progu.

— Cóż, trzęsie cię jeszcze?

— Dziś nie.

Boruta wyciągnął z kieszeni bułkę i kawałek kielbasy, które sobie po wyjściu z kozy kupił, i podał Kasi.

— Na, zjedz.

Kasia zrobiła z początku zawstydzoną minę, ale wreszcie skusiła się do łakoci. Klemens z zadowoleniem spoglądał na jej rumieńce, tem bardziej, że one rozpały się na dosyć ładnej twarzy. Nie była to twarz artystycznie kształtna, nie zawierała tych pociągłych rysów, które są cechą poprawnej ludzkiej rasy i tej delikatności, która jest wynikiem troskliwej hodowli, lecz tworzyła okrągłe, właściwe ludowym urodowi jabłko, na którym nos filuternie się zadzierała, a oczy żywo biegały. Potrzeba było tylko Kasię nieco wyleczyć, odpaść i ubrać, żeby rój parobczaków koło niej się uwijał, a panicze za najlepszą żniwarkę uważali. Boruta był znawcą i dlatego krewniaczkę poczęstował.

— Tańcowałaś w niedzielę? — spytał.

— Boga tam! Na przespanie nocy mało.

— Ale tyś nie od tego... mruknął Klemens i objął dziewczynę, która tylko głowę odwróciła.

— Katarzyna! — odezwał się skrzeczący głos z sieni.

Wybiegła.

— Prosiaki kwiczą — krzyczała matka — a ty zęby suszysz przed chłopem. Ja ci je porachuję!

Jak tylko groźby ucichły, Boruta wyszedł z domu; dokąd — ściśle nie wiedział. Rozejrzał się po niebie, popatrzył w jednym i drugim kierunku drogi, uciął sobie pręt z wierzbiny i ruszył pogwizdując w pole. Oczekiwał on stryja, z którym chciał się rozmówić co do możliwości dostania roboty; ale że słońce jeszcze było wysoko, więc szukał dla reszty dnia jakiejś rozrywki. Odnajdę Brzosta — myślał sobie — i pogadam, może...

Na tę samą miedzę, po której szedł Boruta, wyjechał z za krzaków jakiś mężczyzna na wielkim, ciężkim trakenie.

— Rządca, czy nie rządca, a jużci on — szepnął Klemens, uczuwszy lekkie drżenie w nogach.

Klein poznał go z daleka, podciął konia i zbliżywszy się, osadził gwałtownie.

— Co tu robisz? zawołał po niemiecku.

— Idę — odrzekł Boruta.

— Przez czyje pole?

— Przez szląskie.

— Ty zbójcu! — krzyknął Klein, zamierzony się szpicrutą.

Klemens chwycił konia za uzdę.

— Ostrożnie, bo ściągnę i umiarkuję.

Rządca wiedział, że Boruta dotkliwie miarkuje, nawet gdy nie grozi, cóż dopiero gdy grozi. Rzekał więc spokojnie i po polsku:

— Proszę *zurück*, tu chodzić nie wolno.

— Święta ziemia, bo niemiec ją kupił! — bąknął Boruta i wrócił do drogi, idąc przed Kleinem, który za nim postępował na koniu, a później gościńcem popędził do dworu.

O odszukaniu Brzosta, po tem świeżem starciu, nie można było myśleć. Owczarz bowiem pasł niezawodnie na polach dworskich, a rządca po nich chodzić zabronił. Usiadł więc Boruta na kamieniu, wziął kawałek leżącego kija i zaczął strugać wiatraczek. Przechodzący i przejeżdżający ze zdumieniem spoglądali na młodego, zdrowego chłopca, który porze roboczej zabawiał się dziecinnymi figlami. Klemens tymczasem strugał starannie deszczułki, aż wreszcie osadził je w krzyż złożone na patyku i zatknął na górcę w ziemię. Wiatr poruszył skrzydłami wiatraczka i puścił je w szybki ruch. Klemens z zadowoleniem stanął przed swem dziełem i przypatrywał mu się długo uśmiechnięty.

— Pochwalony! — rzekła jakaś stara, przechodząca wieśniaczka. Dużoście umieli!

Boruta, zawstydzony, nic nie odpowiedział, a gdy kobieta oddaliła się, poszedł wolnym krokiem do wsi. Słońce już się zniżało ku ziemi. Czerwony jego odbłask złocił dachy i drzewa, jak gdyby przyświecał jeszcze nad obowiązek niedokończonych prac w polu. To też robotnicy się śpieszyli, ożywieni nadzieją spoczynku i przedwiecznym chłodem, który im znużone siły wzmacniał. Nikt wszakże nie witał z taką radością nadchodzącej nocy, jak zmęczony całodziennem próżnowaniem Boruta. Wszedł on do swojej izby i położył się na posłaniu. Zasnąć nie mógł, bo w kozie dobrze się wywczasował, a przytem jakiś niepokój wewnętrzny utrzymywał go w ciągłej czujności. Zamknął więc oczy i myślał. O czem? O tem wszystkim zapewne, co napęlić lub odziać musiał.

Już gęsty mrok zapadał, gdy na progu izby stanął jakiś wysoki, nieco zgarbiony, chudy mężczyzna.

— Wy stryju? — spytał Klemens.

— A no ja. Cóż to, już śpisz, spracowałeś się w kozie?

— Niech ją! Nie ma tam przy szosie roboty?

— Ba! Przyszedłem właśnie ci powiedzieć, że jest.

— Co dają?

— Dotąd półtóry marki, a od jutra jedną, bo powiadają, że ludzi mają dosyć.

— Ha, będzie przynajmniej na podpłomyk z kwasem.

— Jutro do dnia.

Po tych słowach wyszedł, nie spytawszy nawet, czy jego krewniak ma co polizać. Chłopi nie znają rozczuleń, a może nie mają na nie czasu. Zresztą na usprawiedliwienie Jana przypuścić trzeba, że wiadomość o kielbasie i bułce musiała za pośrednictwem Kasi dojść do niego.

Nazajutrz stryj z bratankiem wyruszyli do roboty. Przy szosie już znajdował się dozorca Kugelhut.

— A kogo to Jan prowadzić?

— Pan mówił, żeby do szabru...

— Ja nie pytam do czego, tylko kogo.

— Boruta, mój bratanek.

— Wasz bratanek, ten co pana Klein w brzuch tryknął... nie... nie... takie zuchy nie chcą.

Boruta spojrział na dozorcę wzgardliwie, ale stłumił gniew i odszedł.

Gdzie się podział, znowu nikt powiedzieć nie umiał. Znikł ze wsi bez śladu. Brzost, dowiedziawszy się o tem, mruknął zmartwiony:

— A właśnie barana dorznięłem.

Ciężko było owczarzowi tem bardziej, że po części uznawał się winnym losu Boruty. Przecież gdyby nie trzmielówka, rządca parobka by nie wypędził, a gdyby nie zeznanie Brzosta, do kozy by nie wsadził.

I Kasia żał za krewniakiem poczuła.

— A tak częstował — mówiła do ojca — jak gdyby sto lat miał tu zostać.

— Te! poszedł pewnie gdzie lepiej — odrzekł Jan — nie ma czego żałować.

Janowa tylko szczerze rada była ze zniknięcia Klemensa. Nie czekając nawet, aż domyśli się sprawdzi, weгнаła uroczyście prosięta do oczyszczonej izby.

— Djabli nadali — mruzczała — wielki pan! Dlatego, żeby miał się gdzie jedną noc przespaciać, tyle obrazy boskiej. Z bibułki — delikatny! A prosięta to mogą na deszczu. O płot się oprzeć i zdrzemnąć — nie dosyć?

Wszystkich tych żalów i dąsów Boruta nie słyszał, bo był daleko od rodzinnej zagrody, daleko...

Innym historykom pozostawić muszę zadanie opisanie dziejów Nędzy po wydaleniu się z niej Klemensa Boruty w ciągu następnej ćwierci wieku. Bo jakkolwiek przez ten czas spełniło się w tej wsi bardzo wiele ważnych zdarzeń, ja przecież, poświęciwszy pióro jedynie losom tytułowanego bohatera, wypadków tych opowiadać nie mogę. Zaledwie wspomnieć mi wypada, że rodzice Kasi pomarli, ona zaś, poślubiwszy wędrownego rymarza, osiadła z nim w połowie ojcowskiej chaty i strzegła tradycji trzymania prosiąt w drugiej części domu; że Klein przeniósł się do innego majątku a jego miejsce zajął niejaki v. Dornfisch. Nowy rządcą od tego zaczął swe panowanie, że Brzosta za niedołęstwo od obowiązków uwolnił. Biedny owczarz wziął bat, Burka, pęk korzeni do koszyków, stare cholewy i butelkę, na czapkę nałożył stary pilśniowy kapelusz, a na ramiona zarzucił kapotę zimową — i wyszedł. Drobnym deszczykiem wiosennym mżył z zachmurzonego nieba i roztapiał czarną, sapowatą ziemię w grzęskie błoto. Jakkolwiek Brzost miał dawno wypowiedzianą służbę i o zyskaniu środków życia przedtem myślał, znalazłszy się za wrotami, nie wiedział dokładnie, gdzie ma złożyć swoje, niezbyt wprawdzie obfite, ruchomości. Sunął się tak powoli, że Burek co chwila go wyprzedzał i przystawał; zmysłny pies widocznie odgadywał, że jego pan przenosi się bardzo blisko, kiedy tak nogi za sobą wlecze. Jakoż Brzost, zbliżywszy się do chałupy Borutów, stanął, pomyślał chwilę, wreszcie wszedł. Było to w półtora roku po zniknięciu Klemensa, a w kilka miesięcy po śmierci jego stryjenki. Gdyby ona żyła, niedługo pozwoliłaby zapewne spocząć przyjacielowi męża i bratanka. Ale Jan, który wraz z córką tyle tylko potrzebował w chacie przestrzeni, ile jej dwa tapczany ze stołem zajmowały, nie wypędził owczarza.

— To i zostańcie — rzekł — będzie nam w zimie cieplej, a w lecie i na górcie przepić.

Brzost został, żeby jednak nie ciążył zbyt ciężko gospodarzowi, całe dnie przesiadywał i plótl koszyki na drugiej stronie z posagowemi prosiętami Kasi i dopiero wieczorem kładł się na strychu. Skromne rzemiosło dawało drobnym zarobek, dwór wszakże nieco mu do życia pomagał. W dworskiej kuchni bowiem była stara pomywaczka, która pamiętała o owczarzu i zawsze z obiadu pozostawiała albo garnuszek krupniku, albo kilka kartofli, albo wreszcie kawałek mięsa, które on dostawszy kryjomo przez okno, krył w cholewę i uciekał do domu. Jakże wtedy wesół biegł za panem Burek! Oblizywał się ciągle i rozganiał po drodze kury, jak wówczas, kiedy Brzost barany dorzynał.

Szedł czas jednostajną koleją, zabierając ofiary. Złożył do grobu Jana Borutę, wydał za mąż Kasię, obdarzył ją dziećmi, tylko Brzosta zdawał się nie tykać. Było to jedyne miłosierdzie, jakiego owczarz od losu doznał. Wszystko go prześladowało, tylko śmierć unikała. Czy był jej za to wdzięcznym?

— Po co mnie — mówił — starą skorupę chowa, kiedy tyle garnków natłukła? Ot i Burek zdechł — a ja nie mogę, chociaż niema nawet robaka, dla którego bym był potrzebny.

Po zgonie Burka Brzost widoczniej się postarzał, ale żył i plótl koszyki między prosiętami, których coraz nowe pokolenia przybywały do izby Klemensa. Z biegiem lat wszakże zaczął tracić wzrok i nieraz musiał wołać najstarszego syna Kasi, ażeby mu korzonek w plecione przeciagnał. Nie pomogły niebieskie okulary z siatką, które mu rymarz sporządził, wzrok gasł nieustannie. Nareszcie owczarz dostał zapalenia oczu i zaniewidział. Rozplakał się stary serdecznie.

— Teraz jeśli nie przyjmą do szpitala, połóż się pod płotem i zdechnij jak Burek.

Nie przestawał jednak pleść koszyków, wyręczając się jedynie częściej synem Katarzyny. Właściwie ślepotą nie zmniejszyła mu środków do życia. Bo i za koszyki czasem grosz kapnął, i pomywaczka ze dworu o starym nie zapomniiała, i rymarz do miski zaprosił. Więc ciągnął Brzost nędzne życie i nie umierał, chociaż doliczył się lat 80 z okładem.

A gdzież w ciągu tego długiego czasu był i co robił Boruta?

Nadszedł rok 1879. W lipcu obiegała po tarnowickiej kopalni ołowiu smutna wieść, że liczba robotników zostanie zmniejszoną. Jakoż pewnego dnia zarząd górniczy ogłosił im ten smutny wyrok. Przeszło 150 wynędzniałych, zasmolonych mężczyzn, kobiet i dzieci otoczyło wejście do szybów, wiodąc leniwą, ciągle przerywaną rozmowę.

— Pono do węgla potrzebują — mówił jeden.

— Gdzie? — spytało kilka głosów.

— W Budziszynie.

— Chwat! — odezwał się stary robotnik. W Budziszynie niedługo ludzi kopać będą.

— To w Gliwicach!

— Ot głupie gadanie — rzekła stara kobieta. Wczoraj Maciej stamtąd przyjechał, powiada, że także rozpuszczą.

— Nie będzie roboty, to pójdę do *Obera* i...

— Daj pokój z pięścią. Żeby nie ty, możeby nas nie wygnał — zawołali dwaj górnicy.

— Żeby nie ja, tobyście psom kości wydzierali. Flaki! Oni mi będą teraz przymawiać!

— Bo prawda.

— Jak dam w gębę, to także będzie prawda.

— Daj!

— Masz kundlu!

Rozpoczęła się bijatyka. Wzbrana siła wzburzenia musiała się wyladować choć w części, jeżeli nie miała doprowadzić do groźnego buntu przeciwko zarządowi. Prosty robotnik jak para: ujęty w karby, spełnia najuległej wszelkie posługi, ale gdy je rozerwie, niszczy wszystko, co na drodze swego wybuchu spotka. Wszczęta bójka, która szybko rozszerzyła się na dalsze koła zebranych, odegrała rolę klapy bezpieczeństwa. Zadowolone w niej na chwilę dzięki instynkty osłabły i nie miały mocy do burzliwego ujawnienia się przeciw zarządowi kopalni. Ciągłe wymysły, w których język polski przeplatał się czeskim i niemieckim, rozdmuchiwały gasnący ogień walki.

Niemym jej świadkiem był czterdziestoletni górnik, który stał na uboczu, trzymając za rękaw małą, obdartą dziewczynkę. Twarz jego chuda, pokryta fałdami, w których rysowały się ciemne smugi ołowianej sadzy, wyrażała poważny smutek, ożywiany jedynie lekkimi drganiem ust i zmarszczkami czoła. Ani do bójki, ani nawet do rozmowy się nie mieszał, owszem, usuwał się skwapliwie coraz dalej z dzieckiem, ile razy zapaśnicy ku niemu się zbliżyli. Po co przyszedł? Dość było spojrzeć na jego bose nogi, połatanne spodnie, wytarty kaftan, ażeby odgadnąć, że nie ściągnęła go tu chęć sejmikowania. Do izby sama robota nie przyjdzie, więc, jak inni, wyszedł z domu, tą samą drogą, którą przez dwadzieścia kilka lat codziennie do pracy uczęszczał, wziął z sobą dziecko, bo wiedział, że nazad wróci i słuchał w gromadzie, czy tam gdzie jego grubych rąk nie potrzebują.

Stał tak długo milczący, od pola walki odsunięty, wreszcie pochwycił rozpaczliwie dziewczynkę na ręce i pobiegł do domu. Niedługo ukazał się z nią i z małym pakunkiem na plecach, powiedział słów parę przed progiem do starej kobiety i puścił się drogą, która wiodła do różnych wsi, a także i do Nędzy. Spotkawszy go w tej podróży, po przelamanym chyba nosie czytelnik poznałby w nim Klemensa Borutę.

Przez ćwierć wieku uderzał oskarżeniem w tarnowickiej kopalni ołowiu — oto jego historia. Dodać do niej wypada za ledwie to, że się ożenił i stracił w lat kilka matkę dziewczynki, którą teraz do Nędzy dźwigał.

Ponieważ prosięta, korzystając z pogodnego dnia, wybiegły na podwórze, Brzost więc swobodnie mógł zajmować się pracą w przeznaczony dla nich izbie. Siedział on pod ścianą, otoczony pękami korzeni i prętów, z których powoli, nieśmiało, plótl mały koszyk. Obok dziesięcioletni Wicek, syn Katarzyny, wpatrywał się w robotę owczarza i zastępując mu brak oczu, ostrzegał go co chwila.

— Nie tu, dziadku, nie tu.

Brzost zwykle ustawał, badał ręką plecionkę i mówił:

— Co ty mnie będziesz uczył! Przeplotłem ten patyk, teraz ten.

— Ale ominęliście jeden.

— Utrzyj sobie nos, głupi, który ominąłem?

— No ten.

Owczarz zaczął macać palcami i choć przekonał się o słuszności uwagi chłopca, gderał:

— Mądry, bo ma oczy. Kiedy ja je miałem, urwisie, to o wiorstę mogłem odróżnić, czy owca leci, czy baran.

— Nie sztuka — rzekł chłopiec — baran ma rogi.

— Osioł jesteś, a mały baranek gdzie ma rogi?

— Na głowie.

— Och, ty capie, tobie one wyrosną.

Podczas gdy Brzost tak się z małym kramarzył, na progu stanął człowiek z dziewczynką, któregośmy widzieli przy tarnowickiej kopalni. Rozejrzał on się po izbie i zatrzymał wzrok na starcu.

— Dziadku — rzekł Wicek — czegoś chcą.

— Kto?

— Nie wiem.

— Co gadasz, ciemiego?

— Przyszli.

— Kto tam? — zapytał owczarz.

— Klemens Boruta — odpowiedział przybyły.

— Klemens... Boruta — powtórzył Brzost, opuszczając plecionkę koszyka — Klemens, biedny mój chłopaku, żyjesz? Gdzie jesteś, nie widzę cię, nie zobaczę, oślepiłem, pójdźże, daj rękę Brzostowi...

— To wy, Brzoście? — rzekł Klemens zdziwiony.

— Nie poznałeś mnie, zgrzybiałem — co? Popruchniały już drzewa, które ze mną wyrosły, ani jednego głosu znajomego nie słyszę. I twój się zmienił, ile masz lat?

— Czterdzieści z górą.

— Czterdzieści, Jezu! Gdzież jesteś, jakże ci się wiedzie?

— Źle, dziadku, źle, dwadzieścia lat w kopalni kułem, teraz roboty nie mam.

— O, biedny, daj mi rękę, siądź tu. Wypędzili cię znowu, pobiłeś kogo?

— Rozpuścili nas w Tarnowicach, wziąłem dziewczynę i przywlokłem się tu.

— To i córkę masz, gdzie, chodź tu, no dobrze, a gdzież żona?

— Umarła.

— Biedny robaku. I mnie wygnali, plotę koszyki z Wickiem. To syn Kasi. U nich także bieda. Rymarz lata po wsiach z wywieszonym językiem i zarobić nie może. Zostaniesz tu?

— Muszę, póki coś się nie trafi.

— Trudno, bo trudno. Każdy za kamieniem się ogląda, czy chleba nie minął. O mój drogi, co za czasy. Zboże podobno przepadło, kartofle gniją, kto nie zdąży umrzeć przed zimą, strasznie żyć będzie.

— Albo to od dziś? I moja nieboszczka nie byłaby zmarła, gdybym miał jej dać co zjeść. Cherlala, cherlala, w domu zimno, w garnku pusto, ledwie dziecko było czem uciszyć. Furda bić łbem o mur, aby go przebić. A tu nic, czasem tylko powietrza chłapiasz i na tem przestać musisz.

— Wicek — rzekł Brzost — pobiegnij na górę i przynieś garnuszek, co tam stoi przy posłaniu liściami nakryty. Zjedźcie kaszy trochę — dodał po odejściu chłopca — dziewczyna pewnie głodna.

Jak przed dwudziestu pięciu laty częstował owczarz Borutę, ale już bez trzmielówki, bez wesołego usposobienia, bez nadziei spokojnego jutra. Gdy dziewczyna pochłaniała kaszę, dwaj przyjaciele opowiadali sobie wzajemnie przygody życia.

— Zdrow jesteś, oczy masz — mówił Brzost, to prędzej gdzie się uczepisz, ale ja... Ot budują na folwarku stodołę, może tam się robota znajdzie.

— Pójdę, popytam. Ty, Marcysiu, zostań i zamieć izbę, ja zaraz wrócę.

— Tylko mi moich prętów nie ruszaj — rzekł owczarz do dziewczynki — tam, w sieni, jest miotła.

Marcysia zaczęła skrętnie uprzątać izbę, którą znów prosięta utracić miały. Brzost ciągle z nią rozmawiał, wypytywał się o szczegóły losów ojca, ale ona niewiele go objaśnić mogła. Było to dziecko miłe, ale fizycznie wątłe i umysłowo nierozwinięte. Ciągłe odżywianie się kartoflami, do których tylko czasem dolewano serwatki lub dokładano kawałek baraniego łaju, nie pozwoliło wzmocnić się wątłemu z natury organizmowi i przytępiło

jej władze duchowe. Marcysia miała już lat osiem, a wyglądała na pięć. Chuda, drobna, blada, z niepomiarnie wyduętym brzuchem, z rzadko porośniętymi jasnymi włosami, nosiła na sobie widoczne ślady choroby. Umysł jej obracał się w bardzo ciasnym kółku pojęć i stosunków dość żwawo, ale po za tem kółkiem tracił wszelką siłę. Zapytana, jak się zwie jej ojciec, odpowiadała natychmiast, ale niezdolna była objaśnić, jak ona się nazywa. Liczyła z trudnością do trzech, każdy dzień świąteczny był dla niej niedzielą, a powszedni czwartkiem. Dla czego czwartkiem — żaden psycholog nie umiałby tego wytłumaczyć. Zabiedzona od dzieciństwa znosiła głód z nadzwyczajną cierpliwością. Dostawszy nawet jakiś pokarm, jadła go powoli i mało. Wprawiona rozkazem w ruch, uwijała się skrzętnie, ale wypełniwszy polecenie, siadała w kącie niema i osłupiała.

I teraz, zamiotłszy izbę, przytulila się do komina.

— Gdzie mała? — pytał Brzost Wicka — wyszła?

— Jest.

— Czemuż nic nie gada? Nie bój się Marcysiu, chodź tu, ja cię nauczę pleść koszyki.

Wszedł Boruta.

— No, to i dobrze — rzekł widocznie uradowany.

— Cóż takiego? — zagadnął Brzost.

— Dali mi robotę przy stodole. Marka za dzień, ale i to pieniądz! Dziewczyno, podskocz, będzie kolacya. Masz tu nożyk i obierz te kartofle.

Zaczął wysypywać z zanadrza ziemniaki.

— Garnka dostaniemy, drzewa bodaj z plotu nałamię i będzie bal. Tam w woreczku jest kawałek słoniny i sól. Teraz pójdę słomy kupić.

Znów wyszedł. Dziewczyna zabrała się do roboty, wymyła garnek Brzosta, przyniosła wiórów i nastawiła przy ogniu kolacyę.

Wieczorem już Boruta był zagospodarowany i poprzyjaźniony z rymarzem oraz jego żoną. Katarzyna nie zapomniła mu, że ją przed dwudziestu kilku laty poczęstował kielbasą i wywdzięczyła się teraz miseczką gotowanej marchwi. Krótko wszakże trwały przypomnienia dawnych czasów i opowiadanie przebytych kolei. W biedzie wysychają uczucia. Myśl, zajęta ciągle najprostszymi potrzebami życia, nie ma chęci i czasu kwilić rzewnie. Mieszkańcy więc domu Borutów, zamieniwszy między sobą kilka westchnień i pamiątek, zmierzwszy pobożnie swoją niedolę, legli spać z zamiarem kłopotania się nazajutrz jedynie osobistymi sprawami. Dostrzedz można było tylko, że między Brzostem a Borutą splótł się jakiś silniejszy węzeł.

— Pójdę już na górę — rzekł owczarz, gdy noc zapadła.

— Po co? — mówił Boruta. Przyniosę wam posłanie, tu spać możecie. Przecie już prosiat niema. Mnie nie zawadzacie a i dziewczynie będzie różniej, gdy ja pójdę do roboty.

Owczarz nie dał się długo namawiać i od tej chwili został lokatorem dawnego swego przyjaciela.

Nazajutrz o świcie Boruta stanął przy pracy. Och, z jakąż skwapliwością do niej przystąpił! Robił wszystko: mieszał wapno, podawał cegły, ociosywał bale, kopał, posłuszny na każde skinienie, jak gdyby się bał, ażeby go nie pozbawiono tak szczęśliwie zyskanego zarobku. Gdy raz mularz krzyknął:

— Nie potrzeba cegły!

Boruta omal nie upadł na dół z całym brzemieniem. Zdawało mu się, że w tych słowach usłyszał straszną dla siebie groźbę. Trwożony tak ustawicznie, popełniał ciągłe błędy i ściągał napomnienia, ale z drugiej strony dowodami pilności zyskiwał wielkie uznanie.

— Miał by ja takich trzech, jak ty — rzekł raz do niego rządcą Nędzy — to wybudowałby ja z nimi cała stodola.

Boruta podrośł z dumy.

Rósł on z dniem każdym, ale równocześnie rosła i stodola.

Klemens takie miał poczucie wartości swych rąk, że nie przypuszczał nawet, ażeby zachwycony nim p. Dornfisch mógł nie zużytkować tyle użytecznej siły. Płynęły więc dnie w dość jasnym zadowoleniu. Brzost siedział w domu i plótł koszyki, opowiadając dzieciom o dawnych czasach, w których trzmielówka niepoślednią grała rolę, Marcysia pod jego kierownictwem gotowała obiady i kolacye, a chociaż grosze nie zawsze starczyły, widmo głodu do izby nie zaglądało.

Jednego dnia Boruta wrócił do domu niezwykle wesół.

— Skończyliśmy stodołę — rzekł do Brzosta — jak cacko.

— Cóż teraz będzie? — spytał owczarz lękliwie.

— Co z innymi będzie, nie wiem, ale ja przy dworze zostanę. Dornfisch zawołał mnie do siebie i kazał przyjść jutro. Żeby dał ze 60 talarów i ordynaryę! Chyba da.

Nazajutrz Boruta z pewną miną wszedł do rządcy. Dornfisch, ujrawszy go, wyjął z biurka książkę, popatrzył w nią, odliczył pieniądze i podając je Klemensowi, rzekł:

— Dostajecie jeszcze trzy talary. No, ja z wami zadowolony; jak będzie robota, to ja was zawołać. Bądźcie zdrów.

Boruta skamieniał. Wziął pieniądze machinalnie, popatrzył osłupiały na Dornfisch, chciał coś powiedzieć, ale gdy rządcą powtórzył:

— Bądźcie zdrów, pocziwy Boruta...

nieszczęśliwy człowiek wyszedł.

Pogodne słońce wrześnieowe, to samo, które przed dwudziestu pięciu laty tak starało się rozweselić pozbawionego pracy Borutę i teraz zabiegło mu drogę, gdy wracał od rządcy, obrzuciło go swymi ciepłymi promieniami i osuszało lzy, które u spuszczonej powiek robotnika zawisły. Klemens szedł machinalnie, ściskając pieniądze w rękę, zapomniał nawet włożyć kapelusza, utkwił wzrok w ziemię i potykał się co krok na bruzdach i zagonach pola, na które bezwiednie z drogi zbieżył. Oddaliwszy się znacznie od wioski, oprzytomniał i stanął. Nogi wszakże chwiały się pod nim, więc usiadł na świeżo zoranej roli. Przez chwilę rozglądał się na około błędnym wzrokiem, następnie otworzył rękę i zaczął na niej liczyć odebrane pieniądze. Liczył długo, chociaż wszystkiego miał 9 marek i 4 sr. grosze.

— Nie dołożył, nic nie dołożył — szepnął smutnie. Żeby grosz, żeby pięć fenigów, żeby jeden.

Zerwał się i podążył ku domowi. Właśnie Marcysia płukała groch, przyspiewując sobie w robocie i wiodąc rozmowę z Brzostem. Zajmowana tak długo przez prosięta izba, dzięki obecnym jej mieszkańcom, dziwnie wypiękniała. Przybyły do niej dwa tapczany, stolik, trochę garnków i misek, a roztawione na półkach nowe koszyki Brzosta stanowiły nawet pewną ozdobę. Światło jesienne wlewając się swobodnie przez czyste, chociaż małe szczyby okien, nadawało tej ubogiej siedzibie wesoły widok. I Brzost, choć ślepy, czuł błogie orzeźwienie w tej jasności, bo nieustannie żartował.

— Wicek, Wicek, nie gap się na dziewczynę, tylko prątki podawaj. Ona nie dla ciebie śpiewa. Ale jak urośniesz i będziesz umiał bez płaczu cebulę rozebrać, to cię z Marcysią ożenię.

— O, ja już dziś umiem — odezwał się chłopiec.

— Patrzcie go, obibok, umie, a ile razy nos przytem utrzesez, hę? Nie taki jak ty smyk przechwalał się we dworze. Czerwoną sukienkę zdjął, ale jak się do białych koszulek zabrał, beczał też, beczał! O, tak.

— Zjedz teraz zęby — krzyknął wchodząc Boruta — bo już nic innego mieć nie będziesz.

— To ty Klemensie? — spytał strapiony Brzost.

— A ja i bieda za mną. Nie zgubiłem jej — mówił dziko — nie bójcie się. Wlecze się z mora, wlecze, nie odczepię jej, nie odpędzę, nie uduszę. Ona mnie udusi. Kanarek — szelma. Świergotał, obiecywał i dał — w kark. Jak robota będzie. Ha, ha, ha — będzie bywa długie, bardzo długie. Choćbym te pieniądze tylko lizał, to bym i wreszcie wylizał.

Upadł ciężko na tapczan i westchnął. Izbę zaległa cisza.

— Co się stało? — przerwał nieśmiało Brzost.

— Nic nowego — rzekł szydlerczo Boruta — to samo, co od czterdziestu lat ciągle mi się zdarza: skończyłem robotę, odprawili.

— Odprawili — powtórzył stary ze smutkiem.

— Bo i cóż mieli zrobić — odparł gniewnie Boruta — do chlewu mnie wsadzić i na słoninę karmić? Nie wieprz jestem, tylko człowiek, mam ręce i gębę, jak dla rąk zbraknie, gęba pościć musi. Czego się jąc? Gwiazdy na niebie liczyć, czy wodę w rzece mierzyć?

W słowach Boruty widoczna była płatanina starganej nieszczęściem myśli. Rzucił je bez ładu, chciał gniewem kogoś ugodzić i nie widział celu.

— Ty połknij groch — zawołał do Marcysi wysypującej z garnka ugotowany obiad, ja połknę ciebie, Brzost — mnie, będziemy syści. Do tego przyjdzie, niedaleko... Rymarz w domu?

— Pojechał — bąknęła dziewczyna.

— Ha! — zawołał, zrywając się z tapczana — podpalę kiedy tę chałupę, bo mi już życie obmierzło!

— Klemensie! Klemensie! — uspokajał go Brzost.

— Ja wiem, że mię tak ochrzčili, nie przypominajcie. Jedz mała, nie czekaj na mnie. O, żeby nie ty, puściłbym się w świat i nie oparł aż tam, gdzie biedy niema.

— Mówią — odezwał się Brzost — że do Polski potrzebują dużo ludzi.

— Plotą, a wy słuchacie i nie rozumiecie. Jak roboty niema, każdemu się ona śni, że gdzieś jest. Toć gadają, że i pod Wiedniem do wałów potrzeba. Więc cóż? Czy karetka po mnie zajedzie, czy kolej dowiezie? Do Polski — to raj! Znam takich, co do tego rajy w kapocie poszli, a bez kapoty wrócili.

— A ja znam takich, co tam dużo zrobili pieniędzy!

— Może ukradli. Niby to raz kosztowałem polaków. Wleź do nich wtedy, kiedy masz dwie skóry, bo jedną pewno zedrą.

— Ot! bajesz głupstwa.

— Już ja się waszego rozumu za ogon nie czepię. Co widziałem, to wiem. Albo to Pęczkowskiego z Gliwic za Wisłą nie obili? I za co? Za to, że za kośnika się zgodził. To też gdy jeden wilk do nas się przemknął, porachowaliśmy mu żebra, że aż mu dwóch zbrakło.

— I w jednej wsi zabijają. Ty pluj gdzie chcesz, a ja byłem pod Sandomierzem i...

— To idźcie sobie tam do stu tysięcy djabłów, nikt was tu nie trzyma. Wam będzie wesoło, a drugim łzej.

— A czemu ja ci tak zaciężyłem? — rzekł Brzost boleśnie. — Żałujesz mi tego kąta, którego nie żalowałeś tyle lat prosiętom? Pójdę, pójdę, choć ślepy jestem, jeszcze kawałek dachu ludzie dadzą, a chleba cudzego nie jadłem i jeść nie będę.

Powstał stary, wziął Wicka za rękę i do drzwi zmierzyl.

— Tfu! — splunął Boruta. — Tak się dąsacie, jak panna w zalotach. Czyż ja wam ten kąt wymawiam? Gorzkie słowo z ust się wyrwało, bo w nich nie słodko. Ach dziadku! dziadku! albo raz człowiek człowieka szturgnie, a jednak go nie przebiję. Siadajcie oto i pilnujcie domu.

To rzekłszy, wziął z miski garść grochu, wsypał w usta i wyszedł. Nawet surowy pogromca pijaków proboszcz parafii, do której Nęcza należała, przebaczyłby, widząc go wchodzącego do karczmy. Boruta bowiem nie myślał kieliszkiem rozpraszać smutku, ale chciał poprostu znaleźć kilkoro próżnujących ludzi, którzyby z nim porozmawiali, poradzili. Jakoż istotnie w karczmie obradowało kilku wieśniaków i wieśniaczek, podpi-tych lub trzeźwych, gotowych wszakże do zajęcia się losem nowego towarzysza. Była to gromada najemników, żyjących z dnia na dzień, przepijających właśnie resztki świeżego zarobku.

— Robota jest i będzie — rzekł stary chłop, którego Boruta zaczepił — tylko nas do niej nie stanie. Zje Dornfisch djabła z sosem, aż my mu za dziesięć groszy na dzień do kopania pójdziemy.

— Niechby i tyle — odezwał się Klemens.

— Wy bo pewnie wielki pan, kiedy o grosze nie dbacie, my chudzięta.

— Nie pan, ale potrzebny.

— A my co, z fanaberyi? Nie jadamy pieczonych kijów. Wolę tu tydzień daremnie siedzieć, niż za głupią markę się najmować.

— Wolicie za siebie.

— A jużci nie za was — odparł gniewnie chłop — kopcie sobie i nosem nie motyką kartofle, jak się wam podoba.

Gromada się zaśmiała, Boruta poczerwieniały od gniewu mruknął.

— Swoim nosem jeszcze nie kopałem, ale waszym zaraz mogę.

— Zórz, zórz, to ja tę skibę twymi zębami posieję.

— Cymbał! — rzekł Boruta i wyszedł wśród świstów i krzyków.

— Chwat — w nogach!

Wyprawa Boruty do karczmy nie była tak chybiona, jakby się na pozór zdawało. Wprawdzie nie dano mu żadnej rady, nie nastroczono roboty, ale z grózb nienajmowania się dworowi za tanią cenę błysła mu nadzieja, że ręce jego będą pożądane. Wracał weselszy i słusznie, bo dowiedział się od Brzosta, że Dornfisch przysyłał po niego do młocarni. Odtąd dni wyrobnika różnie się przeplatały: kolejno miewał i nie miewał zajęcia, a ta niestałość nie zubożyła go odrazu, ale zsuwała powoli do nędzy. Skazany często na bezczynność, musiał zarobkiem jednego dnia pokrywać potrzeby kilku, a tymczasem nadchodząca spiesznie zima wydatki ciągle mnożyła. Sam Boruta nie miał ciepłego ubrania, z dziewczyny obleciało wszystko, mrozy szczypały coraz silniej, obok tych kłopotów zarysował się inny, podobno najstraszniejszy, mianowicie zupełny brak roboty. Po obrobieniu pola, możliwość najmu w folwarku ustała. Klemens ze drżeniem oczekiwał jutra, które go ostatecznie chleba pozbawi.

Jak gdyby te warunki nie dopełniły jeszcze miary nieszczęścia biednego człowieka, pewnego rana Brzost z pościeli się nie podniósł. Dopóki plótl, chociaż niedołążnie i powoli swoje koszyki, dopóty zarabiał na garnek ciepłej stawy i nie był dla Boruty ciężarem. Teraz, gdy się rozchorował, wyrobnikowi przybyły trzecie głodne usta do nakarmienia. Czuł to chory starzec i dlatego ciągle powtarzał:

— Dobij mnie, dobij. Za kilka dni życia, co mi tam jeszcze pozostaje, i grzechu mieć nie będziesz.

— Nie kuście — odpowiadał Boruta, nie wiedząc jakim sposobem z przepaści się wydobyć.

Trzy dni upłynęło bez roboty. Przez te trzy dni Klemens prawie nic nie jadł, choremu rymarka dawała po troszce mleka, Marcysia żywiła się obierzynami z kartofli.

Głód — jeden tylko wyraz, a ileż cierpień! Zdaje się, że każda w nim zgłoska jęczy. Jęk ten nie wyrывa się nigdy z jednych ust, ale brzmi chórem. Gdzie morowe widmo powiało swą śmiertelną chustą, tam pada nie jedna ofiara, ale całe gromady. Tak było i w Nędzy. Ten sam dramat, który śledziliśmy w życiu Klemensa Boruty, odegrywał się w życiu wielu mieszkańców tej wioski, a nawet prowincyi. Brak pracy, nieurodzaje, wylewy rzek rozpostarły szeroki obraz ubóstwa, w którym losy naszego bohatera tworzyły tylko cząstkowy widok. Nieszczęściem jego nie była bezczynność i niedostatek, ale to, że znalazł się w otoczeniu równie klęską dotkniętem. Dopóki bieda pozwalała się dusić, dopóty jej ofiary cierpiały odosobnione, bez wiedzy o sobie, z przekonaniem, że tylko każdą z nich srogi los pognębił. Gdy nareszcie tłumione cierpienia wybuchły głośną skargą, zlały się w wielki okrzyk trwogi i rozpacz. Od lata zarówno w Nędzy, jak i w jej okolicach panowała bieda; ale dopiero w jesieni, gdy nadzieja ratunku zgasła, gdy przyszłość rozwarła się jak noc ciemna i przerażająca, z tysięcy piersi wybiegło straszne hasło głodu. Hasło to złowrogiem echem zabrzmiało w całej prowincyi, w całym państwie, odbiło się o tron, przeleciało za granicę, zawiadomiło o klęsce świat wszystkim. W tym okropnym chórze był i głos Boruty.

Przez trzy dni, jak rzekliśmy, nic on nie jadł, a musiał przytem patrzeć na karmiące się obierzynami kartofli dziecko i dogorywającego Brzosta. Stary owczarz rozdzierał mu serce nie tylko swym widokiem, ale i swojemi słowami.

— Mój robaku — mówił — nie myśl o mnie, godzina dłużej czy krócej wszystko jedno. Lepiej nawet, że bieda dodusi. O Marcysi pamiętaj i o sobie. Mnie żebyś marcypanami karmił, nie uzdrowisz. Już czas ciało zrzucić, ledwie się trzyma. Febra raz trząśnie, to i obleci. Nie dawaj mi mleka, niech mała wypije. Nie widzę was, moi kochani. Ach! żeby chociaż na minutkę przejrzał i pożegnał się z wami. A może i lepiej, żem ślepy. Sprzedałeś Klemensie wszystkie koszyki?

— Wszystkie — odrzekł z westchnieniem Boruta.

— Nic już niema — ciągnął Brzost słabo — niema, a ręce pozamierały. Palcami ruszyć nie mogę... próbowałem zgiąć prątek... gdzie tam! Dusza zewsząd uciekła, tylko jeszcze w piersiach siedzi. Ale niedługo wyskoczy. Na jednym włosie się trzyma. Czuję, że ten włos serce mi opasał i na to umrę. Żeby go można zdjąć, byłbym zdrów, ale to daremny zachód. Napar z wierzbinego kwiatu pomaga, ale skąd takiego kwiatu wziąć? A do wiosny nie doczekam, Marcysia, jadłaś co dziś?

— Nic, dziadku.

— Idź do dworu, poproś starej Jagny, ona zuchelek chleba dla ciebie wyszuka. Toż tam sześciu psów żywią i dla ciebie się znajdzie. Pobiegnij mała i spytaj jej, czy nie ma kwaśnego jabłka z kapusty, bo mi bardzo sucho w gębie.

Po wyjściu dziewczyny stary zapadł w większą maglinę. Narzekał, zdejmował sobie włos z serca, sprzedawał koszyki i częstował Borutę bułkami. Klemens nie mógł znieść tego majaczenia i wysunął się z izby. Przed domem spotkał rymarza, któremu bieda również dokuczać zaczęła.

— No, stuknijmy się łbami i rozbijemy je — rzekł Klemens — bo już niema innej rady.

— Ja idę do landrata, mówią, że rozdaje zapomogi.

— Skądże?

— Z Berlina przysłali.

— Ha, pójdę i ja.

Poszli. Landrat mieszkał o milę drogi. Przed domem jego stała gromada ludzi, wyędzniałych, obszarpanych, drżących od zimna i chwiejących się od głodu. Szeptali oni coś znacząco między sobą. W duszę nowoprzybyłych wstąpiła nadzieja.

— Żeby nie miał dać, toby nas nie wołał — mówiła jakaś kobieta.

— Ale gdzież tyle zboża?

— Pewnie w magazynach, tylko kwitki napisze.

Nareszcie wyszedł landrat.

— Moi kochani — rzekł po niemiecku — bądźcie spokojni, wczoraj zdałem raport i wezwałem dla was pomocy.

Gromada zaczęła się rozchodzić.

— A gdyby zająć do księdza — szepnął rymarz.

— Dobrze — odpowiedział z rezygnacją Boruta.

Przybyli na plebanię. Właśnie proboszcz wychodził z domu.

— Czego to chcecie?

— Porady, księżo dobrodzieju — mówił rymarz — nie mamy co jeść, dzieci mrą z głodu.

— Cóż ja wam poradzić mogę, moi kochani. Jeśli Bóg się nie zmiłuje, człowiek nie pomoże. Cudu trzeba i cud będzie, boście tego godni. Niebo nie karze ze złości, ale z miłosierdzia. Ono nad wami się zmiłuje. Bóg was wszystkich policzył, nikomu zginąć nie da, gdy nie zechce. Modlę się za was.

Tyle pocieszyło głodnych to zapewnienie proboszcza, ile obietnica landrata. Obaj zdali raport, jeden do ministerjum, drugi zaś do nieba, obaj zapowiadali pomoc, tymczasem...

— Co robić teraz? — spytał Boruta po odejściu księdza.

— Tak, chyba łeb o łeb rozbić — mruknął rymarz.

Klemens, przechodząc koło kuchni księdza, zatrzymał się nagle przed śmietnikiem. Między rozmaitego rodzaju obrzynkami i kośćmi leżała kupka kłów buraczanych.

— Patrzcie — rzekł do rymarza — ksiądz miał jeszcze przeszłoroczne buraki, jak to w piwnicy wyrosły. Zda się na barszcz — co?

— E, gdzieby...

— Zda się, powtórzył Boruta i ziele zbierać zaczął. Napakowawszy niem kieszenie i zanadrze, pośpieszył z towarzyszem drogą do Nędzy. Jakkolwiek wyprawa ich była chybiona, powracali jednak nieco weselsi. O słowach księdza zapomnieli, ale przyrzeczenie landrata utkwilo im w pamięci.

— Aby jakiś czas przebiedować — mówił Boruta — zanim komisya przyjedzie.

— Mówią — dodał rymarz — że w sejmie za nami się upomną i że cesarz ileś tam tysięcy marek dla biednych ofiarował.

— A no, to i dobrze; ale czy na taką moc ludzi wystarczy? Wszędzie głód, kiedy jeden w gębę kładzie, stu głodnych mu w oczy patrzy. Siądźmy Józefie, bo mi nogi omdlały.

Usiedli przy drodze.

— Nie macie kawałeczka chleba?

— I odkąd nie mam! Ledwie dzieci po kruszynie dostaną.

— Tak nie było, nigdy jeszcze nie było.

Z trudem przywlekli się do wioski. W domu zastał Boruta nieprzytomnego Brzosta i płaczącą Marcysię.

— Masz — rzekł do córki, wyjmując kły buraczane — gotuj teraz barszcz.

— Nie umiem tatulu tego robić.

— Gotuj tylko, głupia, samo się zrobi.

I zrobiło się rzeczywiście samo, ale co — tego nawet Boruta powiedziecby nie umiał. Kły buraczane utworzyły jakąś bladoróżową masę i zabarwiły tymże kolorem wodę. Gdy Marcysia wylała odwar na miskę, ojciec jej zadumał się nad pytaniem, co właściwie jeść należy: kły, czy wodę. Skosztował — jedno i drugie bez soli, bez kwasu, bez żadnej doprawy było mdłym, obrzydłym. Klemens jednak, który od kilku dni, prócz mrożonego głodu, nic nie jadł, znalazł w tem smak przedziwny.

— Soli tylko brak — rzekł. — Brzoście, napijcie się barszczu.

— Jedzcie sami, moi drodzy. Jagna nie dała mi jabłek, w gębie gorzko, ale inaczej nie będzie.

— Kapkę — namawiał Boruta.

— Ha, daj na łyżkę.

Klemens wlał mu w usta trochę odwaru. Owczarz posmakował i splunął.

— Mnie już nic nie dogodzi; zdaje mi się, że ciepła woda.

— Jedz Marcysia — rzekł Boruta — widocznie łaknący tej ciepłej strawy.

Gdyby ją mógł sam pochłonać! Widok wszakże wynędzniałego dziecka tłumił w nim głód, a budził ojcowskie przywiązanie.

— Jedz prędko — naglił, jak gdyby chciał usunąć sobie z przed oczu pokusę.

Pokusa wszakże wyczerpywała jego cierpliwość. Warcząc przy misce, z której Marcysia pożądliwie jadła barszcz, wynagradzał sobie przynajmniej poświęcenie gniewem.

— Nie spiesz się tak, nikt cię nie odjada. Widzisz, szelmo, ojciec ci buraków przyniósł, a coś ty ojcu przyniosła? Piłaś mleko, a ja nic nie piłem. Skaranie moje! Żeby nie ty, nie zdychałbym z głodu. I nieboszcza przez ciebie zginęła. Ach, biedna ona moja, gdyby żyła, nie marniałby człowiek jak pies.

Boruta rzewnie zapłakał. Chociaż jego wyrzuty nie dodawały apetytu, Marcysia chciwie jadła. Gdy nareszcie przestała, ojciec pochwycił miskę, wypił z niej resztkę odwaru i zjadł pozostałe zielsko.

Marcysia, sprzątnąwszy naczynia, siadła pod zimnym piecem. Z bladej twarzy, z osłupiałych jej oczu widać było, że chciwie spożyty barszcz ją zemdlili. Jakoż zaczęła jęczeć, krztusić się i spluwać.

— Nie mówiłem — krzyknął Boruta — żebyś jadła wolno. Prosiak.

W tej chwili wpadł do izby rymarz.

— Klemensie, żona mi tak zachorowała jak Maciejowa. Ma czerwone plamy, bredzi... Nie macie pod ręką jakiego lekarstwa?

Urąganiem było żądanie lekarstwa od tych, którzy jeść nic nie mieli. To też Boruta wzruszył ramionami.

Przez cały dzień również nikt drzwi nie uchylił. Nawet mały Wicek, który do starego Brzosta często przybiegał, zajęty płaczem przy chorej matce, ani razu się nie pokazał. Bieda Boruty znaną była we wsi, ale od czasu jak przestała być wyjątkową, od chwili, kiedy głód i choroby spadły na większą część mieszkańców Nędzy, nie zwracano na niego szczególnej uwagi. Jednych pochłaniała własna niedola, drugich przerażała groźba zarazy — i dlatego nikt do domu Klemensa przez cały dzień nie zajrzał. Dopiero wieczorem, skłopotany chorobą żony rymarz przyszedł ulżyć smutkowi. Odrazu jednak spostrzegł, że tu pogasły wszystkie promienie nadziei i że nieszczęście rozpostarło swój mrok złowrogi. Pod piecem, na tem samym miejscu, gdzie padła, leżała nieprzytomna Marcysia, z której ust wydobywały się syczące oddechy. W kącie, na barłogu, rzucał się rozgorączkowany Boruta, trapiiony jakimiś widzeniami. Przy drugiej ścianie Brzost nie dawał znaków życia.

— Klemensie, Klemensie! — zawołał rymarz.

— Jest ktoś żywy? — odezwał się owczarz słabym głosem. — Kto to?

— Ja.

— Ty Józefie — o, mój drogi, co się dzieje? Słyszę jęki, krzyki i nie wiem, czy kogo zabili, czy kto umiera.

— Klemens z córką chorzy.

— Chorzy — powtórzył stary — to już wszystkim koniec. Aby prędeży... aby prędeży... Czem my zgrzeszyli, że nas tak Bóg karze... Prosiłem Klemensa: dobij — nie

chciał. Teraz niema nawet komu dobić... Straszna godzina! Jakie piekło być musi, kiedy taka ziemia. Nie masz ciepłej kropli, bo mi wnętrzności marzną?

— Żona chora — odrzekł zrozpaczony rymarz, a usłyszawszy w swem mieszkaniu krzyk, wybiegł.

Brzost pozostał sam. Świszczące oddechy Marcysi, oderwane, dzikie słowa Klemensa, pobudzały co chwila imaginację opuszczonego starca, który powoli zapadał w stan nieprzytomnego rozdrażnienia. Silna gorączka zaczęła go coraz bardziej rozstrajać.

— Nie wypędzę owiec — mówił w malignie — bo duża rosa... Klein mnie wypędzi... Burek, do nogi... podły pies... pocziwy... zdechl... z głodu..! Brzost sam nie miał chleba, jemu nie dał... Ślepy, świata nie zobaczy, własnych rąk swoich nie widzi, którymi koszyki pleść musi... Dobij maro... ja się sądu ostatecznego nie boję. Z ciałem nie wstanę, bo uschło... Ps! lichu, nie pokazuj mięsa, bo to glina... Brzost chory, ale nie głupi...

Tak długo jeszcze bredził dogorywający starzec. Omdlałe wreszcie usta zaczęły wyszeptywać niezrozumiałe dźwięki, potem tylko drgały niemo... usnął.

Na drugi dzień po Nędzy przebiegła wieść o przyjeździe lekarza, który miał sprawdzić stan zdrowia wsi, i landrata, który przywiózł zebraną na prędcę z ofiar jałmużnę. Skupiła się też przed dworem gromada obdartych, wynędzniałych biedaków, wyczekując wsparcia i porady. Po porozumieniu się z rządcą obaj urzędnicy postanowili przedewszystkiem odbyć rewizję mieszkań. Dom Boruty stał pierwszy przy drodze od dworu, do niego więc naprzód wstąpiła komisja, której towarzyszył orszak nędzarzów. Gdy lekarz otworzył drzwi, przed oczyma obecnych odsłonił się bolesny widok. W zimnej, z wszelkich sprzętów ogołoconej izbie, leżały trzy wyschłe, nieodziane, okropną woń ziejące ciała. Lekarz obejrzał dziewczynę, potem Klemensa, a wreszcie przystąpił do Brzosta.

— Stary umarł — rzekł opuszczając zimną rękę owczarza, która bezwładnie opadła.

— Wczoraj jeszcze żył — wtrącił rymarz, który się ze swej izby wysunął.

— Trzeba go wynieść — mówił doktor — bo powietrze zaraża.

— A co tym jest? — spytał landrat.

— *Genius epidemicus*. Co tu myśleć o zdrowiu? Gdyby ich dziś na nowo stworzyć, jutro by pomarli.

Z kolei opatrzone drugą stroną domu.

— *Genius epidemicus* — powtórzył lekarz, wychodząc, i z całym orszakiem udał się do następnej chaty.

Rezultatem tego śledztwa było zawiązanie z kilku włościan tymczasowego towarzystwa, które przed nadejściem energiczniejszej pomocy miało opiekować się chorymi i rozdzielać zapomogi między głodnych. Tak więc Boruta z córką dostał się pod jakąś opiekę. Tegoż jeszcze dnia wyniesiono na cmentarz ciało Brzosta. Gdy zabijano jego prostą, ze starych desek zrobioną trumnę, zbudzony na chwilę Klemens otworzył wystraszone oczy, chciał powstać, zabelkotał coś i znów wpadł w nieprzytomność. Kiedy wynoszono starca, tylko mały Wicek odprowadził go za bramę, wołając z płaczem.

— Dziadku, dziadku! Koszyki!..

Czy sądził, że go tym ostatnim wyrazem prędeż zawróci?

Niech czytelnik wszakże nie sądzi, ażeby po odwiedzinach komisji warunki życia, a raczej choroby Boruty i jego córki zupełnie się zmieniły. Bynajmniej. Wprawdzie nąjęta przez „towarzystwo” baba zamiotła izbę, rozebrano i oczyszczono chorych, dano im potrosze przywiezionego z fabrycznej apteki kalomelu, ale o żadnym pielęgnowaniu nie mogło być nawet mowy. Za dużo było we wsi chorych i obawiających się zarazy. Wkrótce bowiem *genius epidemicus* znany był w polskim przekładzie i ludność wiedziała, co jej grozi. Przyjechał do Nędzy felczer, ale ten zaledwie raz dziennie odwiedzał cierpiących. I cóż to był właściwie ów *genius epidemicus*? Już w piątym dniu słabości Boruty i jego córki uważne oko mogło na całym ich ciele, z wyjątkiem twarzy, dostrzedz tak zwaną *różyczkę* — z początku bledsze, później coraz barwistsze, czerwone plamy, będące charakterystycznym znakiem tyfusu wysypkowego, owego nieodłącznego towarzysza wielkich głodów. Po upływie tygodnia Boruta odzyskał napozór przytomność, bo mówił, odpowiedzi wszakże jego, połączone z silnymi napadami magliny zdradzały zupełny rozstrój umysłowy. Przytem tak ogłuchł, że dźwięki nawet silnego głosu z trudnością doń się przedostawały. W drugim tygodniu choroby przedstawiał on postać palącego się

w gorączce kłoca. Język mu osłupiał, oczy się przekrzywiły, gardło grało rżeniem, dziąsła i zęby pokryły się kleistym okładem, nozdrza — sadzą. Leżał ciągle na plecach z oczyma przymkniętymi, mrużąc niezrozumiałe słowa.

W podobnym, a może jeszcze okropniejszym stanie znajdowała się Marcysia. Stary felczer, który na ten raz przyznawał sobie szczególniejszą znajomość „petoci”, znacząco nad nią kiwał głową.

— Czort wie — mówił — jakiej choroby tu nie ma. Cała orkiestra.

Rzeczywiście, w piersiach dziewczyny grała cała orkiestra rozmaitych skrzeczących i świszczących skrzypień. Ani razu od dwóch tygodni nie odzyskała przytomności. Z ruchów jej tylko można było poznać, że cierpi silny ból głowy i piersi. Wyszła tak, że pod skórą odbijały się lekkie wypukłości kostne. Opiekująca się chorymi baba, spostrzegłszy, że mała zaczęła się nagle rzucać bezprzytomnie, zauważyła:

— Śmierć pewnie widzi.

Niepokój ten ustał, ale chora widocznie zapadła w większą niemoc. Nareszcie jednego dnia felczer, przyszedłszy rano, obejrzał ją i rzekł do baby.

— I tę możecie już wynieść.

Umarła. Zgodnie z przepisami sanitarnymi uprzątnięto ją natychmiast. Gdy grabarz zabijał trumnę, Boruta znowu otworzył błędne oczy, popatrzył na nią, zdawał się coś pojmować, chciał jakiś głos wydać, ale zakaszał się i padł na posłanie. Mruczał potem długo. Marcysi nie odprowadził do wrot nawet Wicek, bo i on był już chory.

Pozostał w izbie sam tylko Boruta, ciągle nieprzytomny. Zapewnie i on niedługo za przyjacielem i córką podąży?

We dwa dni po drugim pogrzebie, felczer zauważył silne opadnięcie gorączki u chorego, zblednienie płam i poty.

— Tego zgryźć niełatwo — szepnął.

Boruta ciągle spał, nie snem jednak gorączkowym, obezwładniającym, ale jakimś głębokim i zdrowym. Co kilka godzin budził się i objawiał żądania sposobem, ujawniającym powrót przytomności. Powoli znikły z ust, języka i nosa chorobliwe znamiona. Trwało to przeszło tydzień.

W ciągu tego czasu zaszły ważne zmiany. Szeroko rozniesiona wieść o głodzie na Śląsku wywołała w Niemczech i po za ich granicami hojne ofiary, których część spłynęła i do Nędzy. Zawiązane początkowo „towarzystwo” rozszerzyło się znacznie i pozyskało środki pomocy biednym. Zwłaszcza dary i składki z Królestwa Polskiego, przesyłane do komitetów głodowych, spadły na Nędzę jak cudowne zbawienie. Dzięki im Boruta leżał w opalanej izbie, dostawał potrzebne lekarstwa i pokarmy, miał świeżą słomę, czystą bieliznę i ciepłe okrycie, czego nie doczekali Brzost i Marcysia.

Jednego poranku, chory po długim, pokrępiającym śnie otworzył oczy, rozejrzał się po zmienionej izbie, powiódł okiem po flaszce z lekarstwem, swojej odzieży i palącym się ogniu, aż wreszcie zatrzymał je na łamiącej drewna kobiecie. Widocznym było, że nie rozpoznaje swego położenia, że mu się dziwi i zbiera rozproszone myśli.

— To wy Rafałowa? — zapytał drżącym głosem.

— Ja — a czego to?

— Gdzie Marcysia?

— Oho! wysoko. Modli się za was.

— Umarła? — krzyknął Boruta.

— I lepiej.

Głęboki, rozpaczliwy jęk wydobył się z piersi Klemensa, który zamknięwszy ciekące łzami oczy, leżał długo niemy.

— Brzosta wyrzucili?

— Wrzucili... do grobu.

Boruta znowu zamilkł i zapadł w stan bezwładności. Zaczął na jawie, czy we śnie majaczyć i głośno szlochać. Podczas płaczu wymawiał ciągle imię córki i owczarza, skarżył się i żalił.

Felczer znalazł go bardziej osłabionym i rozgorączkowanym.

— Czy nie zjadł czego?

— Nie — odrzekła Rafałowa — dowiedział się, że córka i owczarz umarli.

Przez kilka dni trwał stan niezdecydowany. Nareszcie Boruta obudził się. Patrzył jak wprzód, rozglądał się, ocierał łzy i milczał. W końcu spytał:

— A kto też, moja Rafałowo, uratował mnie i dał to wszystko?

— Chyba komisya, ksiądz albo landrat — odrzekła.

— Ksiądz albo landrat? — powtórzył Klemens.

— Ano juści, przecież to do nich przysyłają pieniądze z zagranicy... z Warszawy... polaki. Wszystkim głodnym dają, nietylko wam.

— Polaki — szepnął Boruta zdziwiony, utkwiał nieruchomo oczy w przestrzeni i myśleć zaczął. O czym? Mówić nie będę, to tylko dodam, że blada jego twarz drgała silnym wzruszeniem. Nawet i dziś, gdy wyzdrowiał i do nowej, ostatniej walki z życiem się gotuje, zdaje się jeszcze dumać o tem, co mu Rafałowa powiedziała.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/klemens-boruta/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świętochowski, *Obrazki powieściowe* [Pisma, T. I], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1896].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0832-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).